

HENRYK SIENKIEWICZ

NA JASNYM
BRZEGU

Henryk Sienkiewicz

Na jasnym brzegu

«Public Domain»

Sienkiewicz H.

Na jasnym brzegu / H. Sienkiewicz — «Public Domain»,

Nowela Henryka Sienkiewicza (1846–1916) z roku 1897, wnikliwie ukazująca skomplikowane relacje damsko-męskie, a przy tej okazji prezentująca egoizm i płytkość motywacji oraz zachowań ludzkich. Świrski, dojrzały malarz, prosi o rękę młodszą od siebie wdowę, Helenę Elzen. Kolejne wydarzenia wstrząsają życiem bohaterów, doprowadzając do wygaśnięcia uczucia. Popędliwość Heleny, chwilami okrutność w jej działaniu oraz strach przed obmową powodują, że kobieta traci w oczach adoratora. Z czasem Świrski docenia to, co w człowieku może być najcenniejsze: skromność, prostolinijność. Plastyka otoczenia romansu, z maestrią oddana przez Sienkiewicza, sprawia, że utwór prawdziwie urzeka czytelnika.

Содержание

I	5
II	10
Конец ознакомительного фрагмента.	14

Henryk Sienkiewicz

Na jasnym brzegu

I

Malarz siedział w otwartym powozie obok pani Elzenowej, mając naprzeciw dwóch jej bliźniaków, Romulusa i Remusa, i częścią rozmawiał, częścią rozmyślał o położeniu, które wymagało prędkiego rozwiązania, częścią patrzył na morze. Patrzyć było na co. Jechali od strony Nizzy ku Monte Carlo, tak zwaną starą Korniszą, to jest drogą, ciągnącą się wzdłuż wiszarów, wysoko nad morzem. Z lewej strony zaślaniały im widok urwiska spiętrzone, szare, z odcieniem różanym, perłowym – i całkiem nagie, z prawej natomiast błękitniała toń Śródziemnego morza, która zdawała się leżeć ogromnie nisko, czyniąc przez to wrażenie zarazem przepaści i nieskończoności. Z wyniesienia, na którym byli, małe statki rybackie wyglądały jak białe plamki, tak, że nieraz trudno było odróżnić daleki żagiel od krążącej nad roztoczą mewy.

Pani Elzenowa oparła się ramieniem o ramię Swirskiego z twarzą kobiety upojonej, która nie zdaje sobie sprawy z tego co czyni i poczęła wodzić rozmarzonymi oczyma po morskiem zwierciadle.

A Swirski odczuł dotknięcie, dreszcz rozkoszy przebiegł go od stóp do głów i pomyślał, że gdyby w tej chwili nie było przed nimi Romulusa i Remusa, to możeby otoczył ramieniem młodą kobietę i przycisnął ją do piersi.

Ale zarazem zdjął go pewien strach na myśl, że wówczas wahania musiałyby się skończyć i położenie byłoby rozwiązane.

Tymczasem pani Elzen rzekła:

– Zatrzymaj pan powóz.

Swirski zatrzymał powóz i przez chwilę pozostali w milczeniu.

– Jak tu cicho, po gwarze w Monte Carlo! – ozwała się znów młoda wdowa.

– Słyszę tylko muzykę – odrzekł malarz – może grają na pancernikach w Ville Franche.

Istotnie z dołu dochodziły od czasu do czasu przytłumione tony muzyki, niesione przez ten sam powiew, który przynosił zapach pomarańczowego kwiatu i heliotropów. W dole widać było dachy rozrzuconych na pobrzeżu willi, ukrytych w gąszczu eukaliptów, a obok nich rozległe plamy białe, utworzone przez kwitnące migdały i plamy różowe, utworzone z kwiecia brzoskwiń. Jeszcze niżej, widniała modra, zalana słońcem zatoka Ville Franche z rojem wielkich statków.

Życie, wrzące na dole, stanowiło też dziwne przeciwieństwo z głuchą martwością gór pustych i bezpłodnych, nad którymi rozciągało się niebo bez chmur, tak przezrocze, że aż szkliste i obojętne. Tu nikło i malało wszystko wśród spokojnych ogromów i ten powóz z gromadką ludzi zdawał się być jakimś żukiem, przylepionym do skał, który wpłynął zuchwale aż na te wyżyny.

– Tu kończy się całkiem życie – rzekł Swirski, spoglądając na nagość skał.

Na to pani Elzen oparła się jeszcze silniej na jego ramieniu i odpowiedziała rozwlekłym, sennym głosem:

– A mnie się zdaje, że tu się zaczyna.

Swirski zaś odrzekł po chwili z pewnem wzruszeniem.

– Może pani ma słuszność.

I spojrział na nią pytającym wzrokiem. Pani Elzen podniosła również na niego oczy, ale wnet pokryła je powiekami, jakby zmieszana, i pomimo, że na przedniej ławce powozu siedziało dwóch jej chłopców, wyglądała w tej chwili jak młoda dziewczyna, której źrenice nie mogą znieść pierwszego blasku miłości. Poczem umilkli oboje; z dołu tylko dolatywały rozwiane dźwięki muzyki.

Tymczasem zdala na morzu, przy samem wejściu do zatoki ukazał się pióropusz dymu i wnet uroczysty, pełen ciszy nastrój został zamałowany przez Remusa, który, zerwawszy się z siedzenia, zawołał:

– *Tiens! le Fohmidable!*

Pani Elzen rzuciła niechętnie spojrzenie na młodszego ze swych bliźniaków. Żal jej było tej chwili, w której każde następne słowo mogło stanowczo zaważyć w jej losach:

– *Remus* – rzekła – *veux-tu te taire?*

– *Mais maman c'est Fohmidable!*

– Co za nieznośny chłopak!

– *Pouhquoi?*

– On jest *duheń*, ale tym razem ma słuszość – ozwał się nagle Romulus – wczoraj byliśmy w Ville Franche (tu zwrócił się do Swirskiego). Pan nas widział jechać na bicyklach – i powiedziano nam, że cała eskadra już jest, z wyjątkiem Formidabla, który ma jutro nadejść.

Na to Remus odrzekł z silnym akcentem na każdej ostatniej zgłosce:

– Tyś sam *duheń*!...

I poczęli się wzajem kuksać łokciami. Pani Elzen wiedząc z doświadczenia, jaki niesmak budzi w Swirskim sposób, w jaki ci chłopcy mówią, i w jaki wogóle zostali wychowani, kazała im być cicho, poczem rzekła:

– Zapowiedziałam i wam i panu Kresowiczowi, żebyście nie mówili inaczej z sobą, jak po polsku.

Kresowicz był to student z Zurychu, z początkiem choroby piersiowej, którego pani Elzen odnalazła na Riwierze i zgodziła jako guwernera do dzieci, po poznaniu Swirskiego, a zwłaszcza po głośnem oświadczeniu złośliwego i bogatego pana Wiadowskiego, że poważne domy nie chowają już dzieci na komiwojażerów.

Tymczasem jednak Bogu ducha winny »Formidable« popsuł nastrój wrażliwemu malarzowi. Po chwili, powóz, zgrzytając po kamieniach, ruszył dalej.

– To pan wstawiał się za nimi, żeby ich zabrać – ozwała się słodkim głosem pani Elzen – pan dla nich zbyt dobry. Ale tu trzeba kiedy przyjechać w nocy, przy księżycu. Czy chce pan dziś?

– Chcę zawsze – odpowiedział Swirski – ale dziś niema księżycy i obiad pani skończy się zapewne późno.

– Prawda – rzekła pani Elzenowa – ale niech mi pan da znać, jak będzie pełnia. Szkoda, że nie prosiłam pana samego na ten obiad... Przy pełni księżyca musi być tu ślicznie, choć na tych wysokościach dostaję zawsze bicia serca. Żeby pan mógł wiedzieć, jak mi w tej chwili bije i bije... ale niech pan zobaczy puls: widać nawet przez rękawiczkę.

To rzekłszy, odwróciła dłoń, opiętą tak ciasno w duńską rękawiczkę, że niemal zwiniętą w trąbkę, i wyciągnęła ją ku Swirskiemu. On wziął ją w obie ręce i począł patrzeć:

– Nie – rzekł – nie widać dobrze, ale można będzie usłyszeć.

I pochyliwszy głowę, przyłożył ucho do guzików rękawiczki, na chwilę przycisnął ją silnie do twarzy, poczem musnął nieznacznie ustami i rzekł:

– Jak za moich dziecinnych lat udało mi się czasem złapać ptaka, to w nim tak samo serce biło: zupełnie, jak w złapanym ptaku!

A ona uśmiechnęła się prawie smutno i powtórzyła:

– ...Jak w złapanym ptaku...

Po chwili jednak zapytała:

– A co pan robił ze złapanymi ptakami?

– Przywiązywałem się do nich ogromnie. Ale one zawsze odlatywały...

– Niepocziwe ptaki...

Malarz zaś mówił dalej z pewnem wzruszeniem:

– I tak się jakoś życie składało, żem próżno szukał takiego, któryby chciał zostać przy mnie; aż wreszcie straciłem i nadzieję.

– Nie! niech pan ufa – odpowiedziała pani Elzenowa.

Na to Swirski pomyślał sobie, że, skoro się rzecz zaczęła od tak dawna, to należy ją skończyć, a potem będzie, co Bóg da. Miał w tej chwili wrażenie człowieka, który zatyka sobie palcami oczy i uszy, aby skoczyć do wody, ale zarazem czuł, że tak trzeba i że nie czas na namysł.

– Może dla pani będzie lepiej przejść się trochę – rzekł. – Powóz pójdzie za nami, a oprócz tego będziemy mogli mówić swobodniej.

– Dobrze – odrzekła zrezygnowanym głosem pani Elzen.

Swirski trącił laską woźnicę, powóz stanął i wysiedli. Romulus i Remus, pobiegłszy zaraz naprzód, zatrzymali się dopiero o kilkadziesiąt kroków na przedzie, aby spoglądać z góry na domy w Eze i staczać kamienie ku rosnącym w dole oliwkom. Swirski i pani Elzenowa zostali sami, lecz widocznie ciążyła nad niem i tego dnia jakaś fatalność, zanim bowiem mogli skorzystać z chwili, ujrzeli, jak przy Romulusie i Remusie zatrzymał się nadjeżdżający od strony Monaco jeździec, za którym widać było ubranego po angielsku grooma.

– To de Sinten – rzekła z niecierpliwością pani Elzenowa.

– Tak, poznaję go.

Jakoż po chwili spostrzegli przed sobą końską głowę, a nad nią końską twarz młodego de Sintena. Ów zawahał się, czy nie skłonić się i nie przejechać, ale pomyślawszy widocznie, że gdyby chcieli być sami, to nie braliby z sobą chłopców, zeskoczył z konia i skinąwszy na grooma, począł się witać.

– Dzień dobry – odpowiedziała nieco sucho pani Elzen – czy to pańska godzina?

– Tak. Zrana strzelam z Wilkisbeyem do gołębi, więc nie mogę jeździć, by sobie nie rozbijać pulsów. Mam już siedm gołębi więcej od niego. Czy państwo wiedzą, że Formidable dziś przyjeżdża do Ville Franche i że pojutrze admirał daje bal na pokładzie?

– Widzieliśmy jak wjeżdżał.

– Ja właśnie jechałem do Ville Franche, żeby się zobaczyć z jednym z moich znajomych oficerów, ale to już zapóźno. Jeśli pani pozwoli, to wrócę razem do Monte Carlo.

Pani Elzen skinęła głową i poszli razem. Sinten, będąc z zawodu koniarzem, począł zaraz mówić o swoim »hunterze«, na którym przyjechał.

– Kupiłem go od Waxdorfa – mówił. Waxdorf zgrał się w *trente et quarante* i potrzebował pieniędzy. Trzymał na *inverse* i trafił na seryę z sześciu, ale potem karta się zmieniła. (Tu zwrócił się do konia). Czysta irlandzka krew i szyję daję, że lepszego huntera niema na całej Korniszy, tylko do wsiadania trudny.

– Narowny? – spytał Swirski.

– Gdy się raz na nim siedzi – jak dziecko. Do mnie się już przyzwyczaiał, ale panbyś naprzykład na niego nie siadł.

Na to Swirski, który w rzeczach sportu był próżny aż do dzieciństwa, odrzekł zaraz:

– A to jakim sposobem?

– Nie próbuj pan, a przynajmniej nie tu, nad przepaścią – zawołała pani Elzen.

Ale Swirski trzymał już rękę na karku końskim i w mgnieniu oka później siedział na siodle, bez najmniejszego oporu ze strony konia, który może nie był wcale narowny, a może też rozumiał, że na zrębie skalistym, nad przepaścią, lepiej jest nie pozwalać sobie na wybryki.

Jeździec i koń zniknęli następnie w krótkim galopie na zakręcie drogi.

– On nieźle siedzi – rzekł de Sinten – ale podbije mi szkapę. Tu właściwie niema nigdzie dróg do końskiej jazdy.

– Pański koń okazał się zupełnie spokojny – rzekła pani Elzenowa.

– Z czego bardzo się cieszę, bo tu o wypadek łatwo – i trochę się bałem.

Na twarzy jego odbiło się jednak pewne zakłopotanie, najprzód dlatego, że to, co opowiadał o oporności konia przy wsiadaniu, wyglądało jak kłamstwo, a powtóre dlatego, że między nim a Swirskim była ukryta niechęć. De Sinten nie miał wprawdzie nigdy poważnych zamiarów względem pani Elzen, ale wolałby był, żeby mu nikt nie przeszkadzał i w takich, jakie miał. Prócz tego przed kilku tygodniami przemówili się ze Swirskim dość żywo. Sinten, który był arystokratą nieprzejeżdżanym, oświadczył był raz na obiedzie u pani Elzen, że **według niego** człowiek zaczyna się od barona. Na to Swirski, w chwili złego humoru zapytał: „w którą stronę?” Młody człowiek wziął tę odpowiedź tak do serca, że począł naradzać się z panem Wiadrowskim i radcą Kładzkim, jak ma postąpić – i wówczas z prawdziwym zdumieniem dowiedział się od nich, że Swirski ma mitrę w herbie. Wiadomość o niezwykłej sile fizycznej Swirskiego i biegłości jego w strzelaniu, wpłynęła również uspakajająco na nerwy barona, dość, że przemówienie się nie miało następstw, zostawiło tylko pewną niechęć w obydwóch sercach. Zresztą, od czasu, gdy pani Elzen zdawała się przechylać stanowczo na stronę Swirskiego, niechęć owa stała się zupełnie platoniczną.

Malarz odczuwał ją jednak silniej. Nikt wprawdzie nie przypuszczał, by sprawa mogła skończyć się małżeństwem, ale między znajomymi poczęto już mówić o jego sentymencie dla pani Elzenowej, on zaś podejrzewał, że Sinten i jego kompania podrzuwają z niego. Ci wprawdzie nie zdradzili się z tem nigdy najmniejszym słowem, w Swirskim jednak tkwiło przekonanie, że tak jest i bolało go to, głównie ze względu na panią Elzenową.

Rad też był teraz, że dzięki pokojowemu usposobieniu konia, Sinten wyszedł na człowieka, który bez powodu nawet opowiada rzeczy nieprawdziwe, więc wróciwszy, rzekł:

– Dobry koń i właśnie dlatego dobry, że spokojny jak owca.

Poczem zsiadł i szli razem dalej, we troje, a nawet w pięcioro, bo Romulus i Remus trzymali się teraz blisko. Pani Elzen, na złość Sintenowi, a może w chęci pozbycia się go, poczęła mówić o obrazach i wogóle o sztuce, o której młody sportsmen nie miał najmniejszego pojęcia. Ale on począł trzęść plotki z domu gry, przyczem winał młodej pani wczorajszej weny, czego słuchała z przymusem, wstydząc się przed Swirskim, że brała udział w grze. Zakłopotanie jej powiększyło się jeszcze, gdy Romulus rzekł:

– *Maman*, a nam mówiłaś, że nigdy nie grywasz. Daj nam za to po ludwiku, dobrze?

Ona zaś odrzekła, jakby nie mówiąc do nikogo z osobna:

– Szukałam radcy Kładzkiego, by go zaprosić na dziś na obiad, poczem bawiliśmy się trochę.

– Daj nam po ludwiku! – powtórzył Romulus.

– Albo kup nam małą ruletkę – dodał Remus.

– Nie nudźcie mnie i siadajmy do powozu.

Do widzenia, panie Sinten.

– O siódmej?

– O siódmej.

Poczem rozstali się i po chwili Swirski znalazł się znów koło pięknej wdowy, lecz tym razem zajęli przednie siedzenie, chcąc patrzeć na zachodzące słońce.

– Mówią, że Monte Carlo lepiej nawet osłonięte, niż Mentona – rzekła wdowa – ale, ach! jak ono mnie czasem męczy! Ten ciągły gwar, ten ruch, te znajomości, które trzeba robić, chcąc nie chcąc. Czasem mam ochotę uciec stamtąd i resztę zimy spędzić gdzieś w jakim cichym kącie, gdziebym mogła widywać tylko tych ludzi, których chcę widywać. Która z miejscowości najlepiej się panu podoba?

– Lubię bardzo St. Raphael: pinie schodzą tam aż do morza.

– Tak, ale to daleko od Nizy – odrzekła cichym głosem – a w Nizy pan ma pracownię.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem pani Elzenowa znów zapytała:

– A Antibes?

– Prawda! zapomniałem o Antibes.

– I to tak blisko Nizzy. Po obiedzie niech pan zostanie dłużej, pogadamy, dokądby od ludzi uciec.

A on spojrzał jej w głąb oczu i zapytał:

– Czy pani naprawdę chciałaby uciec od ludzi?

– Mówmy otwarcie, – odpowiedziała – w pytaniu pana odczuwam wątpliwość. Pan mnie podejrzewa, że mówię dlatego, by się przedstawić panu lepszą, albo przynajmniej mniej powierzchowną, niż jestem... I ma pan prawo tak myśleć, widząc mnie ciągle w wirze światowym. Ale ja na to odpowiem, że nieraz człowiek idzie pędem nabytym, dlatego tylko, że raz popchnięto go w pewnym kierunku... i znosi wbrew woli następstwa poprzedniego życia. Może, co do mnie, jest w tem słabość kobiety, która bez cudzej pomocy nie umie się zdobyć na energię – przyznaję... Ale nie przeszkadza to tęsknić bardzo szczerze za jakimś cichym kątem i za życiem spokojniejszym. Niech co chcą mówią, ale my jesteśmy jak pnące się rośliny, które jeśli nie mogą pisać się ku górze, to pełzają po ziemi... I dlatego często ludzie mylą się, myśląc, że pełzamy dobrowolnie. Przez to pełzanie rozumiem tylko życie czcze... światowe, bez żadnej wyższej myśli. Ale jak ja, na przykład, mogę się temu obronić!... Prosi ktoś znajomego, by mi go przedstawił, a potem składa wizytę – a potem drugą, trzecią i dziesiątą... Cóż mam na to poradzić? nie prosić go? Dlaczego?... Owszem! proszę, choćby dlatego, że im więcej mam u siebie ludzi, tem bardziej wzajem się zobojętniają i tem bardziej nikt nie może zająć wyłącznego stanowiska.

– W tem pani ma słuszość – rzekł Swirski.

– A widzi pan. Ale też w ten sposób tworzy się ten prąd światowego życia, z którego wyrwać się o własnej mocy nie mogę, a które często tak mnie nuży i nudzi, że mi się chce płakać ze zmęczenia.

– Wierzę pani.

– Pan powinien mi wierzyć, ale niech pan wierzy też i w to, że jestem lepsza i mniej pusta, niż się wydaje. Gdy pana opadną wątpliwości, albo gdy ludzie będą o mnie źle mówili, niech pan pomyśli sobie tak: przecie i ona musi mieć jakieś dobre strony. Jeśli pan tak nie pomyśli, to będę bardzo nieszczęśliwa.

– Daję pani słowo, że ja zawsze wolę o pani myśleć jak najlepiej.

– I tak trzeba – odrzekła miękkiem głosem – bo choćby też wszystko, co jest we mnie dobre, było jeszcze bardziej zagłuszone, przy panu odżyłoby na nowo... To tak zależy od tego, z kim się człowiek zbliży... Chciałabym coś powiedzieć, ale boję się...

– Niech pani powie...

– Ale nie posądz mnie pan o egzaltację, ani o nic gorszego?... Nie, ja nie jestem egzaltowaną; mówię, jak kobieta trzeźwa, która stwierdza tylko to, co jest rzeczywiście i trochę się dziwi. Otóż przy panu odnajduję swoją dawną duszę, taką spokojną i pogodną, jak miałam wówczas, gdy byłam dziewczyną... A przecie ze mnie babina... mam trzydzieści pięć lat...

Swirski spojrzał na nią z twarzą jasną i niemal rozkochaną, poczem podniósł z wolna do ust jej rękę i rzekł:

– Ach! Przy mnie pani naprawdę jest jeszcze dzieckiem: ja mam czterdzieści ośm – i oto mój obraz!...

To rzekłszy, ukazał ręką na zachodzące słońce.

Ona zaś zaczęła patrzeć na ów blask, który odbijał się w jej rozpromienionych oczach i mówić z cicha, jakby do siebie:

– Wielkie, cudne, kochane słońce!...

Poczem nastąpiło milczenie. Na twarze obojga padało spokojne, czerwone światło. Słońce istotnie zachodziło wielkie i cudne. Niżej pod niem, lekkie, porozwiewane chmurki przybierały kształty lilii palmowych i świeciły złotem. Morze przy brzegu pogrążone było w cieniu – dalej natomiast, na pełni, leżał blask niezmierny. W dole nieruchome cyprysy odrzynały się wyraźnie na liliowem tle powietrza.

II

Goście, zaproszeni przez panią Elzen, zebrali się w Hôtel de Paris o godzinie siódmej wieczorem. Dano im osobną salę, wraz z mniejszym przyległym salonikiem, w którym po obiedzie miała być podana kawa. Pani zapowiadała wprowadzić obiad »bez ceremonii« – mężczyźni jednak, wiedząc, co o tem myśleć, przybyli we frakach i białych krawatach, ona sama zaś wystąpiła w bladnoróżowej wyciętej sukni, z jedną wielką fałdą, idącą z tyłu od wierzchu stanika, aż do dołu. Wyglądała świeżo i młodo. Twarz bowiem miała drobną, a głowę małą, czem głównie na początku bliższej znajomości zachwyciła Swirskiego. Obfite jej ramiona, miały w tych zwłaszcza miejscach, gdzie ciało wychylało się z sukni, ton i przeźroczystość muszli perłowej, ręce natomiast od ramion do łokci były lekko czerwone i jakby spierzchnięte. Ale potęgowało to tylko wrażenie ich nagości. Wogóle biła od niej wesołość, dobry humor i ten jakowyś blask, który mają w sobie kobiety w chwilach, gdy czują się szczęśliwe.

Z zaproszonych, prócz Swirskiego i de Sintena, przybył stary radca Kładzki, z synowcem Zygmuntem, młodym szlachcicem, niezbyt obytym, ale zuchwałym, któremu oczy świeciły aż zbyt wyraźnie do pani Elzen, i który tego nie umiał ukryć; dalej ksiązę Walery Porzecki, człowiek czterdziestoletni, łysy, z wielką twarzą i spiczastą czaszką Azteka; pan Wiadrowski, bogaty i złośliwy, posiadacz kopalni nafty w Galicyi, a zarazem miłośnik sztuki i artysta dyletant, a wreszcie Kresowicz, student i czasowy nauczyciel Romulusa i Remusa, którego pani Elzen prosiła także, albowiem Swirski lubił jego fanatyczną twarz.

Młodej gospodyni chodziło zawsze, a tembardziej teraz, o to, by mieć u siebie salon, jak się wyrażała, »intelektualny«. Nie mogła jednakże z początku odwrócić rozmowy od miejscowych plotek i wypadków z domu gry, który Wiadrowski nazywał »słowiańszczyzną«, utrzymując, że więcej się tam słyszy słowiańskich języków, niż każdych innych. Życie schodziło wogóle Wiadrowskiemu w Monte Carlo na przedrwiwaniu własnych rodaków i innej młodszej braci słowiańskiej. Był to jego konik, na którego rad siadał i galopował bez wytchnienia. Zaraz więc zaczął opowiadać, jak parę dni temu w „*Cerele de la Méditerranée*” o godzinie szóstej rano zostało przy grze tylko siedm osób, a wszystkie pochodzenia słowiańskiego.

– Z tem się już rodzimy – rzekł, zwracając się do gospodyni. – Gdzieindziej, widzi pani, ludzie rachują w ten sposób: dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście etc., ale każdy prawdziwy Słowianin powie mimowoli: dziewięć, dziesięć, walet, dama, król... Tak!... Na Korniszę przyjeżdża śmietanka naszego towarzystwa, a tu wyciskają z niej ser.

Na to ksiązę Walery, ze spiczastą czaszką, wygłosił tonem człowieka, który odkrywa nieznane prawdy, że wszelka namiętność, która przebiera miarę, jest zgubną, ale że do „*Cerele de la Méditerranée*” należy wielu dystygowanych cudzoziemców, z którymi warto i pożytecznie jest zabrać znajomość. Wszędzie można służyć krajowi. Oto on spotkał tam przed trzema dniami Anglika, przyjaciela Chamberlaina, który to Anglik wypytywał go o nasze krajowe stosunki, on zaś opisał mu na bilecie wizytowym stan ekonomiczny i polityczny, położenie wogóle, a w szczególności aspiracje społeczne. Bilet ten dojdzie niewątpliwie do rąk, jeśli nie Chamberlaina, którego tu niema, to Salisburego, co będzie jeszcze lepiej. Prawdopodobnie też spotkają się z Salisburym na balu, który ma wydać admirał francuski – i podczas którego cały Formidable ma być oświecony *à giorno* elektrycznością.

Kresowicz, który był nietylko suchotnikiem, ale i człowiekiem z innego obozu i nienawidził tego towarzystwa, w którym, jako guwerner Romulusa i Remusa, musiał się obracać, usłyszawszy o bilecie wizytowym, zaczął parskać ironicznie i zarazem zjadliwie, jak hyena, pani Elzen zaś, chcąc odwrócić od niego uwagę, rzekła:

– Tu jednak ludzie cudów dokazują: ja słyszałam, że cała droga od Nizzy aż do Marsylii ma być oświecona elektrycznością.

– Robił taki plan inżynier Ducloz – rzekł Swirski – ale umarł przed paru miesiącami. Był to taki zapalony elektryk, że podobno przykazał w testamencie, by jego grób oświecony był elektrycznością.

– To – rzekł Wiadrowski – powinien mieć na grobie napis: „Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość elektryczna niechaj mu świeci na wieki wieków, amen!”

Lecz stary radca Kładzki napadł na niego, że żartuje z rzeczy poważnych, które się do konceptów nie nadają, poczem począł napadać na całą Rywierę. Wszystko to tylko pozór i błaga, począwszy od ludzi, a skończywszy na rzeczach. Wszędzie niby „markizy, komty i wikomty”, a tylko pilnuj, żeby ci który chustki od nosa nie wyciągnął. Co do wygod, to samo. W jego kancelaryi w Wieprzkowiskach zmieściłoby się pięć takich ciup, jak ta, którą mu dali w hotelu. Wysłali go doktorzy do Nizy na świeże powietrze, a *Promenade des Anglais* cuchnie, jak krakowskie podwórko. Dalibóg, cuchnie! siostrzeniec jego, Zygmunt, może zaświadczyć.

Ale Zygmuntowi oczy wyłaziły z głowy do ramion pani Elzen i nie słyszał, co się mówi.

– Przenieś się radca do Bordyghiery – rzekł Swirski – brud włoski jest przynajmniej artystyczny, a francuski – plugawy.

– A pan jednak mieszka w Nizy?

– Bo po tamtej stronie Ventimilii nie znalazłbym pracowni. Zresztą ja, jeśli się przeniosę, to raczej w stronę przeciwną – do Antibes.

To powiedziawszy, spojrział na panią Elzenową, która uśmiechnęła się kącikami ust i spuściła oczy.

Po chwili zaś, pragnąc widocznie naprowadzić rozmowę na tory artystyczne, poczęła mówić o wystawie u Rumpelmayera i o nowych obrazach, które oglądała dwa dni temu, a które towarzyszący jej francuski dziennikarz Krauss nazwał impresjonistyczno-dekadencjami. Na to Wiadrowski podniósł widelec do góry i zapytał tonem Pyrrona:

– Co są wogóle dekadenci?

– Pod pewnym względem – odpowiedział Swirski – są to ludzie, którzy wolą od sztuki samej rozmaite sosy, z którymi sztuka bywa przyprawiana.

Książę Porzecki czuł się jednak dotknięty tem, co stary Kładzki mówił o „markizach, komtach i wikomtach”. Nawet szubrawcy, którzy tu przyjeżdżają, należą do wyższego gatunku szubrawców i nie zadawalniają się wyciąganiem chustki od nosa. Tu spotyka się korsarzy w wielkim stylu. Ale obok nich przyjeżdża wszystko, co w świecie jest najwykwintniejsze lub najbogatsze, że zaś wysokie finanse spotykają się tu na równej stopie z wysokim urodzeniem – to właśnie dobrze, bo niech się świat poleruje! Pan Kładzki powinienby przeczytać taką *Idylle Tragique*, a wówczas przekonałby się, że obok ludzi podejrzanych, spotyka się tu i najwyższe „sfery społeczne” – „takie właśnie, jakie spotkamy na Formidablu, który przy tej sposobności ma być oświecony *à giorno* elektrycznością”.

Porzecki zapomniał widocznie, że wiadomość o oświeceniu Formidabla podał już poprzednio do publicznej wiadomości. Jakoż tym razem nie stała się już ona osią rozmowy, a natomiast poczęto mówić o *Idylle Tragique*. Młody Kładzki, mówiąc o bohaterze tej powieści, zauważył, iż „takiemu było dobrze” – ale że był głupi, wyrzekając się kobiety dla przyjaciela i że on, Kładzki, nie zrobiłby tego dla dziesięciu przyjaciół, a nawet dla rodzonego brata, „bo to swoją drogą, a to swoją!” Lecz Wiadrowski odebrał mu głos, albowiem powieści francuskie, w których się zaczytywał, był to drugi jego konik, na którym uprawiał szkołę wyższej jazdy po autorach i ich utworach.

– Co mnie do ostatniej pasyi doprowadza – rzekł – to ta sprzedaż farbowanych lisów za prawdziwe. Jeśli ci panowie są realistami, niech piszą prawdę. Czyście państwo zauważyli ich bohaterki? Oto zaczyna się tragedia: dobrze! taka dama walczy ze sobą, »demenuje« się najokropniej przez pół tomu, a ja, dalibóg, od pierwszej stronicy wiem, co się stanie i jak się skończy. Jakie to nudne i ile razy się to już powtarzało! Ja się na lafiryndy zgadzam i na ich prawo do literatury także, tylko niech mi nie sprzedają lafiryndy za tragiczną kapłankę. Co mi za tragedia, skoro wiem, że taka rozdarta dusza miała przed tragedią kochanków i będzie ich miała po tragedyi... Będzie się znów »demenowała« jak poprzednio i wszystko skończy się znów tak samo. Co to za fałsz, co za ztrata

zmysłu moralnego, zmysłu prawdy i co za zawracanie głów. I pomyśleć, że się to u nas czyta, że ten towar przyjmuje się jako dobry, te farsy buduarowe jako dramat – i że bierze się to poważnie. W ten sposób zaciera się różnica między pocziwą kobietą a gamratką i wyrabia się prawo towarzyskiego obywatelstwa kukułkom, które nie mają własnych gniazd. Potem taka pozłota francuska przychodzi na nasze lale i te dopiero sobie pozwalają pod egidą podobnych autorów! Ni zasad, ni charakterów, ni poczucia obowiązku, ni zmysłu moralnego – nic, tylko fałszywe aspiracje i fałszywa poza na psychologiczną zagadkowość!

Wiadrowski nadto był inteligentny, by nie miał rozumieć, że mówiąc w ten sposób rzuca poniekąd kamieniem w panią Elzenową, ale był to człowiek nawskróś złośliwy – mówił więc tak umyślnie. Pani Elzenowa słuchała też słów jego z tem większem niezadowoleniem, im więcej było w nich prawdy. Swirskiego paliła ochota odpowiedzieć szorstko, rozumiał jednak, że nie wypada brać rzeczy tak, jakby słowa Wiadrowskiego mogły mieć jakieś przystosowanie, wołał więc poruszyć rzecz z innej strony.

– Mnie uderzało zawsze we francuskich powieściach co innego – rzekł – a mianowicie, że to jest świat bezpłodnych kobiet. Gdzieindziej, gdy się dwoje ludzi kocha w sposób prawy, czy nie w prawy – następstwem związku bywa dziecko, tu zaś nikt nie ma dzieci. Jakie to dziwne! Bo tym panom, którzy piszą powieści, zdaje się, że nie przychodzi nawet na myśl, że miłość może nie pozostać bezkarną.

– Jakie społeczeństwo, taka literatura – odrzekł stary Kładzki. – Wiadomo przecież, że ludność we Francji zmniejsza się. W wyższych sferach dziecko – to osobliwość!

– *Mais c'est plus commode et plus élégant* – wtrącił Sinten.

Lecz Kresowicz, który parsknął już poprzednio, rzekł teraz:

– Literatura sytych próżniaków, która musi zginąć wraz z nimi.

– Jak pan powiada? – spytał Sinten.

Student zwrócił ku niemu swą zawziętą twarz:

– Powiadam: literatura sytych próżniaków!

A Porzecki znów odkrył Amerykę:

– Każdy stan ma swoje obowiązki i swoje przyjemności – rzekł. – Ja mam dwie namiętności: politykę i fotografię.

Lecz obiad zbliżał się ku końcowi – i w kwadrans później wszyscy przeszli do przyległego saloniku na kawę. Pani Elzenowa zapaliła cieniuchnego papierosa i wsparłszy się wygodnie o poręcz fotelu, założyła nóżkę na nóżkę. Zdawało się jej, że pewne zaniedbanie powinno podobać się Swirskiemu, jako artyście i trochę cyganowi. Że jednak była stosunkowo niskiego wzrostu i nieco szeroka w biodrach, przeto przy skrzyżowaniu nóg, suknia jej podnosiła się zbyt wysoko. Młody Kładzki upuścił zaraz zapalnik i począł szukać jej na ziemi, tak długo, że radca stryj trącił go nieznacznie w bok i szepnął z gniewem:

– Jak ci się zdaje? gdzie ty jesteś?

A młody szlachcic wyprostował się i odszepnął:

– Właśnie, że nie wiem.

Pani Elzenowa wiedziała z doświadczenia, że mężczyźni, nawet dobrze wychowani, gdy tylko choć trochę mogą sobie pozwolić, stają się grubianami, zwłaszcza wobec kobiet bez opieki. Teraz nie zauważyła wprawdzie ruchu młodszego Kładzkiego, ale spostrzegłszy jego niedbały i niemal cyniczny uśmiech, z jakim odpowiadał stryjowi była pewną, że mówi o niej. I w sercu uczuła wzgardę dla całego tego towarzystwa, z wyjątkiem Swirskiego i Kresowicza, którego podejrzewała, że przy całej swej nienawiści socjalnej do kobiet jej sfery, kocha się w niej. Ale niemal do ataku nerwowego doprowadził ją tego wieczora Wiadrowski, zdawało się bowiem, iż uwziął się, by za to, co zjadł i wypił, zatruć jej każdą łyżeczkę kawy i każdą chwilę. Mówił ogólnie i niby przedmiotowo o kobietach, nie przekraczając granic przyzwoitości, a jednak na dnie jego słów był nietylko cynizm, ale i pełno aluzji do charakteru pani Elzen i jej położenia towarzyskiego, wprost obraźliwych i

niezmiernie dla niej przykrych, zwłaszcza wobec Swirskiego, który i cierpiał i niecierpliwił się jednocześnie.

To też kamień spadł jej z serca, gdy goście наконец rozeszli się i gdy został sam malarz.

– Aa!! – zawołała, oddychając głęboko – mam początki migreny i sama nie wiem, co się ze mną dzieje!

– Zmęczyli panią?

– Tak, tak – i więcej niż zmęczyli!...

– Dlaczego pani ich zaprasza?

Ona zaś, jakby nie panując dłużej nad nerwami, zbliżyła się gorączkowo ku niemu:

– Niech pan siada i niech pan się nie rusza! Nie wiem... może zgubię się w oczach pańskich, ale ja potrzebuję tego, jak lekarstwa... O tak!... Chwilę tak zostać przy uczciwym człowieku... Ot tak!...

To rzekłszy, siadła koło niego i wsparłszy głowę na jego ramieniu, przymknęła oczy...

– Chwilę tak!... chwilę!

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.